



STARSZA PANI ZNIKA

ETHEL LINA WHITE



SAGA
EGMONT

STARSZA PANI ZNIKA

ETHEL LINA WHITE

Ethel Lina White

Starsza pani znika

Przekład:
ALEKSANDRA WOLNICKA

Saga

Starsza pani znika
Tłumaczenie
Aleksandra Wolnicka
Tytuł oryginału
The Lady Vanishes
Zdjęcie na okładce: Shutterstock
Copyright © 1936, 2020 Ethel Lina White i SAGA Egmont
Wszystkie prawa zastrzeżone
ISBN: 9788726459203

1. Wydanie w formie e-booka, 2020
Format: EPUB 2.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów
innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą SAGA
Egmont oraz autora.

SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

1

Bez żalu

Dzień przed feralnymi wydarzeniami Iris Carr po raz pierwszy ogarnęło przeczucie, że wydarzy się coś złego. Jak dotąd czuła się bezpieczna w gronie osób, które — z nieświadomym pochlebstwem — zwykła nazywać swymi „przyjaciółmi”. Jako atrakcyjna sierota, posiadająca niezależne środki utrzymania, zawsze otaczała się różnymi ludźmi. Ludzie ci myśleli za nią — a raczej to ona akceptowała ich decyzje — i za nią krzyczeli, jako że jej własny głos był zbyt cichy, aby mogła z powodzeniem udzielać się towarzysko w większych zgromadzeniach.

Ich stała obecność stwarzała złudzenie posiadania szerokiego kręgu znajomych, choć te same twarze pojawiały się i znikwały z sezonową regularnością. Dawali też Iris przyjemną świadomość własnej popularności. Za namową pewnego fotografa jej zdjęcie ukazało się w kolorowej prasie wkrótce po tym, jak ogłoszono jej zaręczyny z jednym z licznych adoratorów.

Była sławna.

Nie minęło wiele czasu, a zaręczyny zostały zerwane za obopólną zgodą, co stało się okazją do zamieszczenia w gazetach kolejnej podobizny Iris. To oznaczało jeszcze większą sławę. Matka, która zmarła przy jej porodzie, zareagowałaby zapewne płaczem albo pobłażliwym uśmiechem na te żalosne przejawy ludzkiej próżności, które niczym pęcherzyki gazu w bagnie przebijały się co i raz przez powierzchnię, pod którą czał się mrok.

Po raz pierwszy doświadczyła uczucia zagrożenia, będąc świeżo wypoczętą i zadowoloną po nietypowym urlopie. Z zapalem godnym pionierów wesoła kompania Iris opanowała śliczną i malowniczo ubogą wioskę ukrytą w odległym zakątku Europy, biorąc ją w posiadanie przez umieszczenie swoich nazwisk w księdze meldunkowej.

Przez niemal miesiąc okupowali jedyny hotel, ku uciesze i deprawacji jego właściciela oraz całego personelu. Wspinali się po górach, pływali w jeziorze i opalali na każdym stoku. Po powrocie tłoczyli się w barze, gdzie przekrzykiwali radio i rozdawali napiwki za najdrobniejsze przysługi. Właściciel promieniał nad pękającą w szwach kasą, a uśmiechnięci kelnerzy okazywali im szczególne względy, wzbudzając tym uzasadnioną irytację pozostałych angielskich gości.

W oczach owych sześciorga osób Iris była po prostu jeszcze jedną rozwydrzoną pannicą, typową przedstawicielką socjety — próżną, samolubną i całkowicie bezużyteczną. Naturalnie nie były im znane jej zalety — hojność, która, gdy wychodziła na obiad z „przyjaciółmi”, zawsze kazała jej regulować rachunki, jakby to było coś całkiem normalnego, oraz współczucie okazywane wszystkim, którzy cierpieli jakąkolwiek niedolę.

Mglistość świadoma krótkich chwil niezadowolenia i pogardy dla samej siebie, zdawała sobie zarazem w pełni sprawę z poczucia własnej wyższości, które tłumilo w niej wszelką skłonność do saturnaliów. Podczas pobytu w wiosce słyszała fletnię Pana, lecz nie doświadczyła wierzgnięcia jego włochatych kopyt.

Bardzo prędko swobodne obyczaje jej towarzystwa uległy jeszcze większemu rozluźnieniu. Z każdym dniem byli bardziej opaleni, pili i weselili się, a obowiązujące dotąd granice przyzwoitości przyjemnie się zacierały. Stanowili rozrywkową zbieraninę par złączonych w luźne

konfiguracje, tym większe więc było zdumienie Iris, gdy jedna z kobiet — Olga — ogarnięta spóźnioną zazdrością oskarżyła ją o uwiedzenie męża.

Poza tym, że sama scena była zwyczajnie nieprzyjemna, poczucie sprawiedliwości Iris doznało poważnego uszczerbku. Z trudem tolerowała umizgi zanedbywanego przez Olgę mężczyzny, który zdawał się być zbędnym trybikiem niesprawnej małżeńskiej maszyny. Nie jej wina, że stracił dla niej głowę.

Jakby tego było mało, w chwili kryzysu nie zauważyła żadnych dowodów lojalności ze strony swoich przyjaciół, którzy najwyraźniej świetnie się bawili jej kosztem. Żeby ochłonąć, postanowiła nie wracać do Anglii ze wszystkimi, tylko zostać całkiem sama dwa dni dłużej.

Nazajutrz, odprowadzając całe towarzystwo na prymitywną stacyjkę kolejową, wciąż rozpamiętywała doznaną urazę. Do wszystkich zdążyło już dotrzeć, że czeka ich powrót do cywilizacji. Znów mieli na sobie modne stroje i występowali w mniej lub bardziej poprawnych konfiguracjach, jeśli chodzi o partnerów, tak jakby stanowiło to naturalną konsekwencję pakowania walizek i rezerwowania biletów.

Pociąg jechał do Triestu, który ponad wszelką wątpliwość znajdował się w granicach cywilizowanego świata. Wagony były po brzegi wyładowane turystami, również powracającymi do chodników i ulicznych latarni. Jej przyjaciele natychmiast zapomnieli o górach i gwiazdzistych nocach, odruchowo reagując na wszechobecny rozgardiasz i harmider. Dawne poczucie lojalności powróciło i wszyscy skupili się wokół Iris.

- Na pewno się tu sama nie zanudzisz, skarbie?
- Zmień plany i wskakuj do pociągu!
- Doprawdy, *musisz* jechać z nami!

Na dźwięk gwizdka próbowali wciągnąć ją do wagonu tak, jak stała, w szortach i podbitych gwoździami butach, z nieupudrowaną twarzą pokrytą ciemną opalenizną. Szamotała się i boksowała jak kangur, żeby im się wyrwać, i zdołała zeskoczyć na peron dopiero, gdy ten zaczął się przesuwać za oknami wagonu.

Roześmiana i zdyszana po stoczonej walce, stała i machała za oddalającym się pociągami, dopóki ostatni wagon nie zniknął za załomem wąwozu.

Ulga, jaką sprawiło jej rozstanie z przyjaciółmi, była tak wielka, że Iris poczuła niemal wyrzuty sumienia. Lecz w istocie, choć wakacje bardzo się udały, głównym źródłem przyjemności były dla niej pierwotne żywioły — słońce, woda, górski wietrzyk. Zanurzona w przyrodzie, czuła podskórną niechęć do intruzów w ludzkiej skórze.

Byli ze sobą zbyt blisko, w zbyt wielkiej zażyłości. Zdarzało się, że pewne rzeczy odbierała wręcz jako przykry zgrzyt: piskliwy kobiecy śmiech, widok tęgiej męskiej sylwetki przed skokiem do wody, nieustannie wznoszone nonszalanckie okrzyki: „Wielkie nieba!”.

Ale choć w myślach coraz częściej krytykowała swoich przyjaciół, na co dzień zdawała się płynąć z prądem. Podobnie jak oni zachwycała się cudnymi widokami, traktując je zarazem jak coś oczywistego. Było naturalne, że im dalej od cywilizacji, tym piękniejsze krajobrazy i tym gorsze warunki sanitarne.

Teraz nareszcie miała góry i ciszę tylko dla siebie. W dole jaśniała soczyście zielona tafla jeziora; w wodzie niczym diamenty skrzyły się promienie słoneczne. Na tle chabrowego nieba rysowały się ostre zarysy odległych ośnieżonych szczytów. Na wzgórzu wznosiła się ciemna bryła starego zamku; pięć wież sięgało w górę niczym pięć rozcapierzonych palców złowrogiej dłoni.

Wszystko wokół mieniło się feerią barw. W ogródku przy stacji wśród gęstego listowia królowały egzotyczne kwiaty — purpurowe i żółte. Wyżej na stoku drewniany budynek hoteliku płonął ochrą i szkarłatem. Na tle zielonej ściany wąwozu uniósł się w górę ostatni obłoczek dymu — zupełnie, jakby wiatr wzbił w powietrze chmurę ptasich piór.

Gdy dym się rozwiął, Iris poczuła, że pękło ostatnie ogniwo, łączące ją z towarzyszami. Posłała im drwiącego całusa, odwróciła się i stukając podkutymi butami, zbiegła stromą, kamienną ścieżką. Gdy dotarła do wypływającej spod lodowca rzeki, zatrzymała się na chwilę na mostku, aby nasycić płuca mroźnym powietrzem, bijącym znad zielonkawobiałej kipieli.

Wracając myślami do wczorajszej sceny, poprzysięgła sobie na dobre zerwać kontakty ze swymi „przyjaciółmi”. Odtąd mieli jej się kojarzyć z epizodem, który ostatecznie przekreślił jej wyobrażenia na temat przyjaźni. Zdążyła polubić tę kobietę, Olgę, a ona odpłaciła jej za przywiązanie prostackim wybuchem zazdrości.

Odpędziła od siebie przykre wspomnienie. Z miejsca, w którym stała pod bezkresnym błękitem, ludzie wydawali się tacy mali, a ich namiętności zwyczajnie błahe. Byli przypadkowymi przechodniami, mijanymi w drodze od kołyski po grób. Człowiek spotykał ich i rozstawał się z nimi bez żalu.

Z każdą minutą powiększała się przepaść, dzieląca ich od Iris. Coraz bardziej się oddalali i znikali z jej życia. Na tę myśl ogarnęło ją podniecające uczucie całkiem nowej wolności, jakby dzięki ciszy i samotności jej duch wyrwał się wreszcie z okowów.

Lecz już po kilku godzinach oddałyby wszystkie skarby przyrody, aby znów mieć przy sobie choć jedną życzliwą osobę.

2

Niebezpieczeństwo

Jakieś cztery godziny później Iris leżała z rozpostartymi rękami i nogami na wznak na zboczu góry, wysoko ponad doliną. Odkąd mijając stojącą przy rozwidleniu szlaków kapliczkę, pozostawiła za sobą chłód i półmrok wąwozu, wspinała się nieprzerwanie stromą, krętą ścieżką.

Po wyjściu z pasa cienia słońce uderzyło w nią z całą siłą, ale nie zwolniła tempa. Gnała ją szalejąca w niej furia, nie potrafiła bowiem wyrzucić z pamięci wspomnienia o Oldze.

Jej mózg z uporem powtarzał to przekłete imię. *Olga*. Olga jadła jej chleb — w postaci tostów, ze względu na figurę — a soli całkiem odmawiała pod wpływem jakiegoś dietetycznego kaprysu. W kuchni mieli z tego powodu nie lada kłopot. Korzystała z telefonu Iris i nadużywała jej auta. Pożyczyła od niej futro, oddając w zastaw zbędnego męża.

Na wspomnienie męża Olgi, Oscara, Iris puściła się biegiem przed siebie. „Tak jakby mógł mi zawrócić w głowie mężczyzna o wyglądzie Myszki Miki” — zżymała się w duchu.

Była całkiem zdyszana, gdy wreszcie rzuciła się na darń i uznała, że na dziś wystarczy jej przygód. Im dłużej się wspinała, tym bardziej szczyt, któremu rzuciła wyzwanie, zdawał się oddalać. Ostatecznie musiała się poddać i zrezygnować z próby zdobycia go.

Gdy tak leżała z na wpół przymkniętymi powiekami, nasłuchując pogwizdywania wiatru, powrócił utracony spokój. Kępa dzwonków widzianych na tle nieba zdawała

się rosnać i potężnieć na kształt metalicznej dzwonnicy, podczas gdy ona sama malała i stapiała się z ziemią, stając się jej częścią, jak korzenie i kamyki. W wyobraźni słyszała niemal gdzieś głęboko pod głową miarowe uderzenia wielkiego serca planety.

Chwila minęła i Iris znów zaczęła rozmyślać o Oldze. Tym razem jednak perspektywa była nieco inna, ponieważ wysokość, na jakiej się obecnie znajdowała, rozbudziła w niej, jak to zwykle bywa, złudzenie wyższości. Iris przypomniała sobie, że dolina znajduje się cztery tysiące stóp nad poziomem morza, ona sama zaś wspięła się na wysokość ponad pięciu tysięcy stóp.

W tej sytuacji mogła sobie pozwolić na wspaniałomyślność, była bowiem o dziewięć tysięcy stóp wyższa od swojej byłej już przyjaciółki — zakładając, rzecz jasna, że Olga była uprzejma pozostać na poziomie morza.

Iris postanowiła wymazać z pamięci jej wspomnienie jako niewarte tego, aby się dłużej gniewać.

— Ale na tym koniec — poprzysięgła sobie. — Po tej historii już nigdy nikomu nie pomogę.

W jej głosie pobrzmiwał zapal kogoś, kto podejmuje życiową decyzję. Z przyjemnym poczuciem, iż nauczka okazała się cenna i została drogo okupiona, zapaliła papierosa przed wyruszeniem w drogę powrotną. Powietrze było tak czyste, że góry, których dotychczas nie widziała, wypłynęły z niebytu i drżały na niebie niczym bladofioletowe przeźrocza. Daleko w dole widziała odnogę jeziora; z tej odległości nie wydawało się już zielone, lecz przybrało stłumioną, mgliście błękitną barwę.

Niechętnie dźwignęła się na nogi. Pora wracać.

Zejście okazało się nie tylko monotonne, lecz także bolesne, bo przechylające się do tyłu pod własnym ciężarem ciało obciążało niewyćwiczone mięśnie nóg. Łydki wkrótce

zaczęły ją boleć, palce u stóp ścierpły od stąpania po kamiennej ścieżce.

Coraz bardziej zniecierpliwiona postanowiła porzucić kręty szlak i zejść na skróty. Obierając jezioro jako punkt orientacyjny, puściła się truchtem w dół zbocza.

Była to śmiała decyzja, bo niemal natychmiast przekonała się, że stok jest bardzo stromy. Ponieważ nie zdołałaby się już zatrzymać, jedynym rozwiązaniem było przyjąć postawę siedzącą i zdając się na łut szczęścia, zjechać na dół po śliskiej darni jak na sankach.

Od tego momentu wszystko potoczyło się bardzo szybko. Z każdą sekundą zwiększała tempo, choć ze wszystkich sił starała się hamować piętami. Przed oczami przemykały jej niebieskie i zielone plamy; dolina pospieszyła jej na powitanie i zderzyła się z niebem. Podskakując na twardej ziemi, Iris próbowała się kierować ku pasmu rosnących w dole drzew w nadziei, że ocalą ją przed całkowitą rozsypką.

Niestety, okazały się one całkiem spróchniałe i Iris przeleciała przez nie na wylot, by z łoskotem wylądować na środku kamienistej przełęczy.

Jej upadek został częściowo wyhamowany, lecz i tak wstając, czuła się cała obolała. Pomimo odniesionych obrażeń nie omieszkała zmusić się do ironicznego parsknięcia, która to reakcja, wpojona jej jeszcze w szkole, obowiązkowo towarzyszyła wszelkim urazom doznawanym podczas zajęć sportowych.

— Ale heca — wymamrotała, wyciągając sobie drzazgi z nóg.

Szczerze ucieszył ją widok kapliczki, stojącej kilka jardów w górę ścieżki i stanowiącej wyraźny dowód jej doskonałej orientacji w terenie. Ponieważ hotel znajdował się niedaleko, przy wtórze stukotu toczących się kamieni ruszyła żwawo w dół zlebu, rozmyślając o czekających ją wygodach: leniwym, chłodnym drinku, gorącej kąpieli i

kolacji podanej do łóżka. Gdy za zakrętem wąwozu dostrzegła migotanie wody, ogarnął ją taki zapał, że utykając, pomknęła przed siebie.

Okrążyła załom i zatrzymała się kompletnie zdezorientowana. Wszystkie znajome punkty orientacyjne zniknęły, jakby ktoś złośliwie przejechał gumką po rysunku przedstawiającym górski pejzaż. Ani śladu drewnianych domków, stacji kolejowej, przystani czy hotelu.

Z uczuciem trwogi zdała sobie sprawę, że kierowała się wadliwym kompasem. Nie miała wcale przed sobą znajomego, zielonego jeziora, w którym kąpała się codziennie razem z przyjaciółmi. Tamto było głębokie i owalne, to zaś wiło się zakolami, bladoniebieskie i gęsto porośnięte trzcinami wzdłuż swoich płytkich brzegów.

W tych okolicznościach mogła zrobić tylko jedno — zawrócić po własnych śladach do kapliczki i zejść innym żlebem.

Przygoda była w gruncie rzeczy zabawna i zanim Iris powlokła się z powrotem, zdobyła się nawet na bohaterski śmiech.

Miała zbyt ponury nastrój, aby w pełni docenić dziki majestat otaczającej ją przyrody. Wokół ciągnęło się surowe pustkowie, tu i ówdzie rozdarte osuwiskami i usiane aż po horyzont roztrzaskanymi głazami. Spośród kamieni nie wychylało się choćby jedno źdźbło trawy, nie słysząc było świergotu ptaków. Jedynym źródłem dźwięku był chrzęst odłamków skalnych, usuwających się Iris spod stóp, i chlupot wąskiego strumyka, który pieniał się w na wpół wyschniętym korycie niczym splątana biała nitka.

Nawykła do towarzystwa wciąż tych samych ludzi Iris zatęskniła za znajomymi twarzami i głosami. Pod wpływem dojmującej samotności pozwoliła sobie wręcz na mazgajstwo i zaczęła uważać się nad sobą. Pomyślała, że

wyjazd do Anglii nie oznacza dla niej — tak jak dla innych — powrotu do domu, a tylko i wyłącznie powrót.

Obecnie mieszkała w hotelu, podnajęła bowiem swoje luksusowe mieszkanko. Choć sama podjęła taką decyzję, w tym konkretnym momencie i w tej konkretnej sytuacji wydało jej się, że płaci bardzo wysoką cenę za swoją niezależność.

Nastrój ten jednak szybko przysł, bo dotarwszy na szczyt przełęczy, Iris zmuszona była przywołać na pomoc cały hart ducha. Rozejrzała się, chcąc się zorientować w swoim położeniu, i odkryła, że ma przed sobą inną kapliczkę niż ta, przy której weszła wcześniej na biegnący w górę kręty szlak.

Tym razem już się nie roześmiała; czuła, że nie należy przesadzać z poczuciem humoru. Była za to wściekła na samą siebie. Dotąd trwała w przekonaniu, że zna te góry jak własną kieszeń, ponieważ tyle razy pętała się ze swoją wesołą kompanią po okolicznych wąwozach na podobieństwo stada dzikich kóz.

Tyle że wtedy podążała za grupą, a prowadził ktoś inny. W jej towarzystwie znalazł się bowiem niekwestionowany przywódca — młodzieniec będący w posiadaniu jakże cennej mapy.

Pozostawiona sama sobie, Iris nie miała bladego pojęcia, który kierunek obrać. Mogła jedynie zdać się na los i podążać w górę żlebem aż do następnego rozgałęzienia ścieżek.

„Jeżeli będę szła prosto przed siebie, w końcu gdzieś dojdę” przekonywała się w duchu. — Poza tym nie zgubi się ten, kto ma koniec języka za przewodnika”.

Jeszcze nigdy jej wrodzony stoicyzm nie był jej tak potrzebny jak teraz, gdy ogarnęło ją potworne zmęczenie, a dodatkowo dawała się we znaki otarta pięta. Gdy wreszcie dotarła do rozwidlenia szlaków, uznała, że nie może dłużej

polegać na intuicji co do wyboru właściwego kierunku. Przysiadła więc na głazie i czekała, aż przejdzie tędy ktoś, kogo mogłaby spytać o drogę.

Był to dla niej bardzo bolesny moment. Uświadomiła sobie, że cała jej niezależność zasadza się na umiejętności podpisywania czeków uszczuplających majątek zgromadzony przez innych oraz na jej popularności, ściśle związanej ze wspomnianymi czekami.

„Całe życie podróżuję na cudzych barkach — myślała. — Przecież nawet jeśli kogoś tu spotkam, to się z nim nie dogadam, bo jestem najgorszą lingwistką pod słońcem”.

Opis ten jej pochlebiał, gdyż w żaden sposób nie mogła rościć sobie praw do miana lingwistki. Jej ignorancja w dziedzinie języków obcych wynikała z tego, że kształciła się w Paryżu i Dreźnie. W szkole obracała się wyłącznie w towarzystwie innych Angielek, a uczący ją cudzoziemcy nabierali dzięki niej znakomitego angielskiego akcentu.

W mniemaniu Iris słowa angielskiego hymnu narodowego powinny brzmieć: „Obdarz *nas* zwycięstwem”.

Teraz jednak jej patriotyzm nie na wiele się zdał, gdyż na widok zmierzającego żwawo w górę przełęczy krępego, ogorzałego mężczyzny w krótkich skórzanych spodniach na przybrudzonych, kolorowych szelkach poczuła się co najmniej niepewnie.

W towarzystwie Iris był pewien młodzieniec, który miał dar do nauki języków. Polegając na znajomości wspólnych rdzeni, zdołał on opanować niemiecki w stopniu umożliwiającym mu podstawową komunikację. Aby jednak cokolwiek zrozumieć i być zrozumianym, musiał w dużej mierze posilkować się wyobraźnią.

Mając wyraźnie w pamięci drwiące okrzyki, jakimi całe towarzystwo bezlitośnie kwitowało jego porażki, Iris przywołała mężczyznę i po angielsku spytała go o drogę do wioski.

Ten popatrzył na nią, wzruszył ramionami i pokręcił głową.

Druga próba — tym razem Iris spróbowała mówić głośniej — również nie przyniosła żadnych rezultatów. Wieśniak, który najwyraźniej bardzo się dokądś spieszył, chciał ją wyminąć, lecz dziewczyna zastąpiła mu drogę.

Boleśnie świadoma swojej bezsilności, czuła się jak okaleczone stworzenie, któremu wydarto język. Musiała jakoś zwrócić na siebie jego uwagę, sprawić, aby ją zrozumiał. Z poczuciem, że traci godność racjonalnie myślącej istoty, uciekła się do pantomimy, kolejno wskazując palcem ścieżki i powtarzając nazwę wioski.

„Teraz mnie chyba zrozumie, o ile nie jest idiotą” — pomyślała.

Mężczyzna musiał nareszcie pojąć, o co jej chodzi, bo kilka razy skinął głową. Lecz zamiast wskazać jej drogę, rozpoczął tyradę w nieznanym Iris dialekcie.

Potok gardłowych dźwięków sprawił, że nagle się załamała. Poczowała się całkowicie odcięta od cywilizacji, jakby ktoś poprzesuwał granice i zamiast w Europie znalazła się naraz w dalekim zakątku Azji.

Bez pieniędzy i wspólnego języka mogła się tak błąkać w nieskończoność. Niewykluczone, że właśnie w tej chwili oddalała się od wioski i zdążała prosto w dzikie ostępy. Wąwóz miał tyle odnóg, były jak zatoki śródlądowego morza.

Im większy strach ją ogarniał, tym bardziej twarz wieśniaka drgała jej przed oczami niczym fatamorgana ze złego snu. Zauważyła, że mężczyzna ma błyszczącą skórę i niewielkie wole, była też aż nadto świadoma wydzielanego przezeń ciężkiego, koziego zapachu, ponieważ nieznajomy spociał się w trakcie wspinaczki.

— Nie rozumiem pana! — krzyknęła wreszcie z histerią w głosie. — Nie rozumiem ani jednego słowa! Niech pan

przestanie! Och, niech pan *przestanie!* Inaczej oszaleję...

Dla mężczyzny jej słowa były przeciągłym bełkotem. Miał przed sobą dziewczynę ubraną jak mężczyzna, w dodatku — według miejscowych standardów urody — nieatrakcyjnie chudą, z brudnymi, poranionymi kolanami. Domyślił się, że to cudzoziemka, lecz nie potrafił odgadnąć jej narodowości. Co więcej, była na granicy hysterii i w dodatku wyjątkowo głupia. Zdawała się nie rozumieć, że podaje mu niepełną nazwę wioski, bo aż trzy osady w tej okolicy miały w nazwie ten sam przedrostek. Wyjaśnił jej to wszystko bardzo spokojnie i poprosił o podanie pełnej nazwy.

Iris jednak nie mogłaby jej podać, nawet gdyby go zrozumiała. Nazwa wioski stanowiła taki łamaniec językowy, że nigdy nie próbowała jej zapamiętać i jak wszyscy posługiwała się tylko trzema pierwszymi sylabami.

Sytuacja była patowa. Ostatecznie wieśniak skrzywił się i raz jeszcze wzruszył ramionami, po czym udał się w swoją drogę, zostawiając Iris samą w górach.

Te zaś wisiały nad nią jak bardzo konkretne niebezpieczeństwo. Wcześniej kupowała kartki pocztowe z górską panoramą i wysyłała je, opatrzywszy stereotypowym komentarzem: „Widoki zapierają dech w piersiach”. Raz nagryzmoliła nawet: „To jest mój pokój” i dla żartu zaznaczyła krzyżykiem jeden ze szczytów.

A teraz góry miały wziąć na niej odwet. Kulila się ze strachu pod sterczącymi skałami przekonana, że wystarczy tylko lekkie drżenie, aby nawis się urwał, a ona zginęła przygnieciona lawiną kamieni. Czuła się mała, nic nie znacząca. Góry ją unicestwiały, odbierały indywidualność, miażdżyły ducha.

Zły czar prysł dopiero na dźwięk angielskiej mowy. Zza zakrętu wąwozu wyłoniła się para nowożeńców z hotelu Iris.

Tę parę kochanków szanowało nawet jej towarzystwo, tak wielka była ich rezerwa i tak wystawny ubiór. Mężczyzna był wysoki, przystojny, o władczym sposobie bycia. Miał stanowczy głos, a kąt uniesienia podbródka sugerował przesadną dumę. Kelnerzy przybiegali na każde jego skinienie, a właściciel hotelu, prawdopodobnie z uwagi na fakt zajmowania przez gościa osobnego saloniku, tytułował go „milordem”.

Jego żona była równie wysoka, miała doskonałą figurę i twarz bez skazy. Nosila piękne stroje, całkowicie nieprzystosowane do przebywania na łonie przyrody — było jednak oczywiste, że ubiera się w sposób, który jest dla niej naturalny, no i żeby zrobić przyjemność mężowi.

Oboje kierowali się własnymi zasadami i zdawali się nie zauważać reszty gości, którzy akceptowali to jako wyraz przynależności tamtych do wyższej klasy społecznej. Podejrzewano, że nazwisko, pod jakim się zameldowali — „Todhunter” — było fałszywe i miało na celu zachowanie anonimowości.

Nowożeńcy minęli teraz Iris, ledwie zaszczyciwszy ją spojrzeniem. Mężczyzna uchylił od niechcenia kapelusza, lecz nie przypuszczała, aby ją poznał. Jego żona nawet na moment nie oderwała swoich fiołkowych oczu od kamienistej ścieżki; obcasy jej butów były niebezpiecznie wysokie.

Mówiła przy tym coś przyciszonym głosem, w którym pomimo stłumionego tonu dało się wyczuć pewną gwałtowność.

— O nie, mój drogi. Choćby dnia dłużej. Nawet dla *ciebie*. Tkwimy tu już wystarczająco...

Iris nie dosłyszała dalszego ciągu. Postanowiła podążyć za nimi w pewnej odległości, dotkliwie świadoma, w jak pożałowania godnym stanie się znajduje.

Nadejście nowożeńców przywróciło jej równowagę. Ich obecność tutaj dowodziła, iż hotel musi znajdować się gdzieś w pobliżu, jako że tych dwoje nigdy nie zapuszczało się w dalsze okolice. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki góry skurczyły się do pocztówkowych rozmiarów, zaś sama Iris z nic nie znaczącej, zabłąkanej istoty stała się na powrót młodą damą z londyńskiej socjety, przykładającą wielką wagę do kroju swoich szortów.

Wkrótce ujrzała właściwą kapliczkę, tę, przy której zeszła z przełęczy. Bolesnie utykając, ruszyła w dół szlakiem i po niedługim czasie dostrzegła lśnienie ciemniejszego jeziora i światła hotelu, przebijające zielonkawy półmrok.

Przypomniawszy sobie, jak bardzo jest zmęczona i głodna, znów zamarzyła o gorącej kąpieli i kolacji podanej do łóżka.

Lecz choć z pozoru jedyną pamiątką po jej przygodzie były fizyczne urazy, ucierpiało także jej poczucie bezpieczeństwa — tak jakby całe to doświadczenie było zapowiedzią jakiegoś przyszłego zagrożenia, przebłyskiem koszmaru bezradności, oderwania od wszystkiego, co znane.

3

Temat do rozmowy

Gdy nowożeńcy wrócili do hotelu, pozostała czwórka gości siedziała na żwirowym placyku przed werandą, rozkoszując się ciszą i spokojem „przedwieczornej pory”. Było już zbyt ciemno, aby pisać listy lub czytać, a zarazem zbyt wcześnie, aby przebierać się do kolacji. Puste filiżanki i okruchy ciasta na jednym ze stolików świadczyły o tym, że podwieczorek został spożyty na świeżym powietrzu i od tamtej pory nikt się stąd nie ruszał.

Taki bezruch był czymś typowym szczególnie dla dwóch osób z tej grupy, a mianowicie panien Flood-Porter. Po pięćdziesiątce, o ustalonych przyzwyczajeniach i ciężkich figurach, zdecydowanie nie należały do ruchliwych. Obie miały siwe włosy starannie ułożone w fale; zachowały one dość śladów pierwotnego koloru, aby ich właścicielkom mogło przysługiwać honorowe miano blondynek. Wyróżniała je także nieskazitelna, naturalna cera i srogi wyraz twarzy.

Delikatna skóra starszej z nich — panny Evelyn — była lekko pomarszczona, jako że jej posiadaczka dobiegała sześćdziesiątki, podczas gdy panna Rose dopiero co skończyła lat pięćdziesiąt. Młodsza siostra była wyższa i mocniej zbudowana; miała też bardziej gromki głos i ciemniejsze rumieńce. Jej charakter, skądinąd kryształowy, charakteryzowała skłonność do życzliwej uszczypliwości; panna Rose miała w zwyczaju nieustannie strofować swoją towarzyszkę.

Podczas pobytu w hotelu siostry stworzyły zgrany kwartet z wielebnym Kennethem Barnesem i jego małżonką. Cała czwórka przybyła na miejsce jednym pociągami i zamierzała razem powrócić do Anglii. Pastor i jego żona obdarzeni byli darem towarzyskiej ogłady, którego panny Flood-Porter były całkiem pozbawione; w ich mniemaniu miła znajomość z pastorstwem rozkwitła na gruncie podobnych gustów i przekonań.

Hotelowy dziedziniec zastawiony był ogrodowymi krzesłami i stolikami pomalowanymi emalią na żywe kolory oraz przyozdobiony skrzynkami, w których rosły przykurzone iglaki. Rozglądając się wokoło, panna Flood-Porter myślała o swoim uroczym domu w mieście katedralnym.

Prasa donosiła, że w Anglii padał deszcz — jej ogród powinien się teraz prezentować wspaniale, z soczyście zieloną trawą i bujnymi rabatami astrów oraz dalii.

— Marzę o chwili, gdy znów zobaczę swój ogród — powiedziała.

— Nasz ogród — poprawiła ją siostra, nie bawiąc się w ceregiele.

— A ja marzę o jakimś wygodnym krześle — roześmiał się pastor. — Oho, a oto i nasza świeżo poślubiona para...

Choć inni ludzie wzbudzali w nim zwykle życzliwe zainteresowanie, nie potrafił zdobyć się na słowa miłego powitania. Już raz został przez nich szorstko ofuknięty i ta pierwsza — a zarazem ostatnia — nauczka wystarczyła, aby zrozumiał, że ci dwoje nie życzą sobie naruszania ich prywatności. Odchylił się więc na oparcie krzesła i pykając fajkę, obserwował nowożeńców wchodzących po schodach na werandę.

— Przystojna z nich para — zauważył z aprobatą.

— Ciekawe, kim oni *naprawdę* są — mruknęła panna Flood-Porter. — Twarz tego mężczyzny wydaje mi się

znajoma. Wiem, że już go gdzieś widziałam.

— Może w filmie — podsunęła jej siostra.

— Och, chadzacie panie do kina? — wtrąciła ochoczo pani Barnes, mając nadzieję na znalezienie kolejnej wspólnej pasji, sama hołdowała bowiem grzesznej namiętności do dziesiątej muzy.

— Tylko na George’a Arlissa i Dianę Wynyard — odparła panna Flood-Porter.

— W takim razie wszystko jasne — stwierdził pastor. — Ten tutaj z pewnością nie jest George’em Arlissem ani Dianą.

— Mimo to jestem pewna, że otacza ich jakaś tajemnica — upierała się panna Flood-Porter.

— Ja także — zawtórowała jej pani Barnes. — Ciekawe, czy... czy naprawdę są po ślubie?

— A *ty* na pewno jesteś mężatką? — spytał szybko jej mąż.

Po czym roześmiał się łagodnie, gdy jego żona spąsowiała po same białka.

— Wybacz mi ten niestosowny żart, moja droga — powiedział — lecz czy nie prościej jest wierzyć, że wszyscy są tym, za kogo się podają? Nawet pastorowie i ich żony. — Wytrząsnął popiół z fajki i wstał z krzesła. — Chyba przejdę się do wioski pogawędzić z moimi nowymi znajomymi.

— Jak może z nimi gawędzić, skoro nie zna języka? — spytała prosto z mostu panna Rose, gdy tylko pastor opuścił ogród.

— Och, po prostu *sprawia*, że go rozumieją — wyjaśniła jej z dumą pastorkowa. — Wystarczy empatia i zwykłe człowieczeństwo. Mój mąż gotów pocierać się nosami z każdym dzikusem.

— Obawiam się, że to nasze plotki go stąd wypłoszyły — zauważyła panna Flood-Porter.

— To moja wina — przyznała pani Barnes. — Wiem, że ludzie mają mnie za ciekawską. Ale szczerze mówiąc, zmuszam się do zainteresowania sprawami sąsiadów. To taki mój mały protest przeciwko naszej okropnej narodowej nieśmiałości.

— My z kolei jesteśmy z niej dumne — stwierdziła panna Rose.

— Anglia nie potrzebuje reklamy.

— Oczywiście, że nie... Ale nic dwa raz się nie zdarza. Stale muszę sobie przypominać, że siedzący obok mnie nieznajomy może być w tarapatkach, a ja mogę mu pomóc.

Siostry spojrzały na nią z aprobatą. Była smukłą kobietą w wieku około czterdziestu pięciu lat, o bladej, owalnej twarzy, ciemnych włosach i słodkich rysach. Spojrzenie jej ogromnych, brązowych oczu było zarazem życzliwe i szczere, a sposób bycia — prostolinijny.

Niemożliwym było przypisywać jej coś innego niż całkowitą uczciwość. Panny Flood-Porter wiedziały, że mając wybór, wolałyby krępujące tłumaczenia niż udawanie czegokolwiek.

Pastorowa ze swej strony lubiła obie siostry. Stanowiły uosobienie zacności i solidności. Miało się poczucie, że mogłyby z powodzeniem zasiadać w ławie przysięgłych i pełnić służbę Bogu oraz bliźnim — a zarazem nigdy nie dopuściłyby, aby ktokolwiek nimi manipulował.

W dodatku nie pracowały, miały uroczy dom z ogrodem i dobrze wyszkoloną służbę oraz oszczędności w banku. Pani Barnes o tym wszystkim wiedziała, lecz będąc kobietą, odczuwała pewną satysfakcję na myśl, że jedynym mężczyzną w ich towarzystwie jest jej mąż.

Poczucie wyższości nie było jej obce, jako że do czterdziestych urodzin spędzała coroczne wakacje w towarzystwie gromadki innych starych panien. Po

skończeniu szkoły zarabiała na życie jako nauczycielka, aż stał się cud i Bóg obdarzył ją nie tylko mężem, ale i synem.

Oboje byli tak zapatrzeni w swoją pociechę, że pastor niekiedy obawiał się, czy takim oddaniem nie kuszą aby losu. W noc poprzedzającą wyjazd na urlop zaproponował żonie pewien pakt.

— Masz rację — powiedział, spoglądając na śpiącego w kołysce synka. — Rzeczywiście *jest* piękny. Ale... Moim przywilejem jest nauczać ludzi dziesięciu przykazań. Czasami zastanawiam się, czy...

— Wiem, co masz na myśli — przerwała mu. — Bałwochwalstwo?

Pastor przytaknął.

— Jestem tak samo winny jak ty — przyznał. — Dlatego też zamierzam narzucić sobie odtąd większą dyscyplinę. Ludzie o naszej pozycji mają szczególną możliwość wpływania na innych. Zamiast skupiać się na jednym, powinniśmy dbać o wszechstronny rozwój. Jeżeli ten wyjazd ma nam naprawdę pomóc, *musi* się wiązać z całkowitą zmianą myślenia... A gdybyśmy tak, moja droga, przez cały urlop ani słowem nie wspomnieli o Gabrielu?

Pani Barnes się zgodziła. Lecz złożona obietnica nie powstrzymała jej od nieustannego myślenia o malcu. Choć pozostawili go pod opieką godnej zaufania babki, wciąż głupio niepokoiła się o jego zdrowie.

Podczas gdy ona liczyła godziny, dzielące ją od powrotu do synka, a panna Flood-Porter uśmiechała się z rozmarzeniem na myśl o swoim ogrodzie, panna Rose kontynuowała rozpoczęte rozważania. Zawsze doprowadzała wszystko do końca.

— Nie pojmuję, jak w ogóle można kłamać — oznajmiła. — No, chyba że jakiś biedak obawia się utraty pracy. Ale ludzie tacy jak *my*? Znamy z siostrą pewną zamożną kobietę, która przechwala się, że zawsze składa fałszywe

deklaracje podczas kontroli celnej. Toż to zwykła nieuczciwość.

Gdy tak mówiła, w furtce prowadzącej do hotelowego ogrodu stanęła Iris. Usiłowała wyminąć siedzące przy stoliku towarzystwo jak najszerszym łukiem, nie mogła jednak nie dosłyszeć fragmentów rozmowy.

— Może nie powinnam osądzać innych — wtrąciła pani Barnes czystym, donośnym głosem dawnej wychowawczyni szkolnej. — Ale sama nie czułam nigdy najmniejszej potrzeby, aby skłamać.

„Kłamczucha” — pomyślała odruchowo Iris.

Była w stanie krańcowego zmęczenia, wprost słaniała się na nogach. Ostatkiem silnej woli doszła do hotelu. Męka wędrowni sprawiła, że jej nerwy były napięte jak postronki. Choć marzyła o zaciszu własnego pokoju, wiedziała, że nie zdoła wejść po schodach bez choćby krótkiego odpoczynku. Czując w ciele każdy obolały mięsień, osunęła się na ogrodowe krzesło i przymknęła oczy.

„Jeżeli ktokolwiek mnie zagadnie, zacznę krzyczeć” — pomyślała.

Panny Flood-Porter, krzywiąc usta, wymieniły między sobą porozumiewawcze spojrzenia. Nawet brązowe, zwykle łagodne oczy miłej pani Barnes patrzyły wrogo, gdyż wcześniej zbyt często padała ofiarą egoizmu oraz złych manier towarzystwa Iris.

Owi młodzi ludzie zachowywali się tak, jakby cały hotel do nich należał, zaś pozostali goście byli tam intruzami. Domagali się szczególnego traktowania i otrzymywali je dzięki łapówkom. Taki brak poszanowania dla ogólnie przyjętych zasad irytował pozostałych turystów, którzy w sprawach wszelkich opłat, w tym tych za obsługę, zdali się na biuro podróży.

Towarzystwo Iris zmonopolizowało stół bilardowy i pozajmowało najlepsze miejsca w jadalni. Podczas posiłków

zawsze obsługiwano ich w pierwszej kolejności, tak że dla innych nie starczało już dań. To samo dotyczyło ciepłej wody do kąpieli.

Nawet pastor uznał, że jego cierpliwość została wystawiona na zbyt ciężką próbę. Starał się robić dobrą minę do złej gry, składając wszystko na karb szaleństw młodości, lecz miał świadomość, że kilku kompanów Iris dawno już przekroczyło wiek młodzieńczy.

Niestety, wśród tak zwanych przyjaciółek dziewczyny trafiły się dwie, które zdecydowanie nie przynosiły chluby Anglii. A ponieważ trudno było odróżnić jedną pannicę w kostiumie kąpielowym od drugiej, pani Barnes doszła o wniosku, że wszystkie robią to samo: upijają się i uprawiają wolną miłość.

Ich plażowe ekscesy raziły jej poczucie przyzwoitości, nieustanny hałas zakłócał nocę. Była więc wyjątkowo uszczęśliwiona perspektywą dwóch dni spokoju, spędzonych w otoczeniu przepięknych krajobrazów i w przyjemnym towarzystwie.

Najwyraźniej jednak nie pozbyli się w całości tej okropnej hałasty, pozostał bowiem maruder w osobie tej oto dziewczyny — a może ktoś jeszcze? Pani Barnes już wcześniej zwróciła na Iris przelotną uwagę, ponieważ była ładna i adorował ją korpulentny dżentelmen w stroju kąpielowym.

Jako że mężczyzna ów był żonaty, jego wybranka nie zasługiwała na aprobatę pastorowej. Teraz jednak Iris wyglądała na tak zmęczoną, że dobre serce pani Barnes wkrótce zaczęło jej wyrzucać brak współczucia:

— Została pani całkiem sama? — zaszcebiotała, siląc się na bez troski ton.

Iris wzdrygnęła się na tak niespodziewaną uwerturę. W tej chwili ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, było czyjekolwiek życzliwe zainteresowanie, pod płaszczykiem